dworzan, którzy ulegli w ten sposób pokusie rewanżu. Z rzucanych wobec Królowej kąśliwych napomknień, aluzyjnych uwag czy krótkiego i nagle jasno, spokojnie po ludzku, formułowanego osądu Raoula rysował się mało chwalebny portret Królowej Mary – intrygantki, organizatorki różnych spisków na życie, gotowej posunąć się do najgorszego, by osiągnąć swój cel. I jeszcze jakby z niezamierzoną, wręcz niechcianą dokładnością przypomina Raoul, że nigdy nie miała ona przyjaciół. A jednak ta jej samotność, na obronę której Królowa nie miała właściwie nic poza poczuciem swej królewskości – jakby obróciła się na jej korzyść i stała się siłą (Borowska jest tutaj świetna). Niosła sobą jakiś cień heroizmu nie przynależnego nikomu i niczemu. Przed egzekucją Dziekan, kościelny urzędnik (Irena Dudzińska), w swej mowie chce ją pognębić moralnie, zniszczyć do końca i nieodwołalnie jej królewskie sacrum. Przez chwilę mówią jedna przez drugą, wydaje się, że to jest przekrzykiwanie jak na targu. Nikt jednak nie jest w stanie pokonać tej, która stoi tylko wobec ostateczności. Dziekan traci przekonanie, przestaje mówić. Milczenie należy już tylko do Królowej. Jest przed nami w swojej pysznej królewskiej kreacji. Poza dobrem i złem. Należy na tę ostatnią chwilę jedynie do siebie.

Słuchamy jeszcze motywu muzycznego francuskiej piosenki. Jak epitafium. Ale jest w tym coś więcej. Nostalgia przypominania o tym, czego ludziom i ich światu zabrakło. ○

Obrona Samuela

Jarosław Marek Rymkiewicz
Samuel Zborowski
Wydawnictwo Sic!
Warszawa 2010

Przyznam szczerze: trochę się bałem tej lektury. Przede wszystkim dlatego, iż dwie poprzednie książki Jarosława Marka Rymkiewicza: „Wieszanie" i „Kinderszenen", zwłaszcza ta druga, wywołały we mnie odruch protestu, ale zarazem trudną do określenia fascynację. Nie zgadzałem się, byłem nawet często przerażony, a przecież czytałem, i to z jakąś perwersyjną, nieco masochistyczną przyjemnością. Na okładce „Samuela Zborowskiego" lekko zasępiona, wykwintnie odziana Judyta trzyma za włosy odciętą głowę Holofernesa, w drugiej ręce – obosieczny miecz. Przy okazji pewnie mnie też coś obetnie, więc może lepiej na dystans? Cóż, kiedy się nie da.

„Samuel Zborowski" sprawił mi przyjemność niebywałą. Rymkiewicz odtwarza dzieje XVI-wiecznego banity z wielką historyczną i filologiczną skrupulatnością, podyktowaną osobistą sympatią do swego bohatera. Przypomnijmy: rotmistrz królewski, hetman kozacki, kalwin, członek możnego i wpływowego rodu z Małopolski, przez pewien czas stronnik i żołnierz Stefana Batorego w Siedmiogrodzie. Został on przez tegoż Batorego skazany na śmierć na

podstawie wyroku banicji, który wydał lege artis Henryk Walezy po tym, jak Zborowski (lub ktoś z jego orszaku) podczas uroczystości koronacyjnych w 1574 roku na Wawelu zabił czekanem kasztelana przemyskiego Andrzeja Wapowskiego. Egzekutorem królewskiej decyzji o wykonaniu wyroku był kanclerz Jan Zamoyski, sam na próżno żywiący ambicje monarsze, a w obronie skazańca wystąpili zarówno przed, jak i po jego ścięciu liczni krewni i przedstawiciele lokalnej szlachty. Bezskutecznie. W 1589 roku Sejm ostatecznie uznał wyrok i egzekucję za całkowicie zgodne z prawem.

Książka jest rezultatem imponującej, dyktowanej głębokim zaangażowaniem w temat kwerendy. Autor wykorzystał wiele źródeł staropolskich, w tym szereg wydanych raz tylko bądź ostatnio w XIX stuleciu. (Przy okazji: warto byłoby na powrót ustanowić serię „Biblioteka starożytna pisarzy polskich", zapewnić jej finansowanie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego – wszak nazwa zobowiązuje! – i wydać raz jeszcze lub po raz pierwszy, z nowoczesnym aparatem edytorskim, teksty znacznej wartości). Poszczególne epizody afery Zborowskiego zrekonstruowane zostały jak najbardziej szczegółowo, oświetlone z różnych dziejopisarskich perspektyw, poddane analizie iście detektywistycznej z obsesyjną, wręcz mikroskopową precyzją. Rymkiewicz interesuje się ponadto detalami sztafażu, na przykład delią – rodzajem płaszcza – we wszelkich jej odmianach i rodzajach. Zwraca uwagę na archaiczne, niosące zapomniane znaczenia formy językowe, które czasami nie przystają już do naszego dzisiejszego doświadczenia świata. Trzy rozdziały poświęcone zdaniu mrze bardzo (w pewnej miejscowości nękanej zarazą umiera teraz bardzo dużo ludzi) i różnym postaciom czasownika „umierać" to dowód nader wyczulonego ucha do polszczyzny i wyobraźni lingwistycznej wysokiej klasy, co jest zresztą komplementem prawie nie na miejscu dla wybitnego przecież poety, tłumacza i znawcy historii literatury. Słowem: przyjemność z lektury doprawdy rzadka, o ile tylko czytelnik podziela zainteresowanie przeszłością swojej formy cywilizacyjnej i kultury, języka i obyczaju. Bo czytelnikiem „wirtualnym", zaprojektowanym jest Polak (Polka) – adresat/ka „Samuela Zborowskiego" jako rozprawy o czasie minionym, ale również, a może nawet bardziej, o teraźniejszym.

I tu zaczyna się mój kłopot z przesłaniem Rymkiewicza, który w historycznym sporze o los ściętego pod Wawelem szlachcica stoi zdecydowanie po jego stronie. Nie żebym był zażartym przeciwnikiem osądzonego, skazanego i uśmierconego Samuela Z., bynajmniej. Może nie trzeba dziś zajmować w tej sprawie zdecydowanego stanowiska? W końcu rzecz działa się ponad 400 lat temu i był to zaledwie jeden spektakularny epizod zmagań o kształt ustrojowy Rzeczypospolitej, w danej chwili między stanowczym (Rymkiewicz mówi: porywczym) władcą i jego urzędnikiem z ambicjami a „narodem szlacheckim" dbałym o swój status. Może nie warto rzutować w przeszłość dzisiejszych debat politycznych, sporu o kulturę? Autor „Samuela Zborowskiego" sądzi, że warto, jeśli więc czytamy tę książkę, nie sposób się uchylić przed podniesieniem rzuconej rękawicy, chyba że w pełni podzielamy jego przekonania. A jeśli nie podzielamy?

Rymkiewicz pisze o szlachcie per polscy rycerze. Aura skojarzeniowa wokół rzeczownika „rycerz", bez przymiotnika „błędny", wydaje się jednoznacznie pozytywna: etos rycerski, rycerskość wobec dam, dzielny rycerz, Zawisza Czarny... Zatem „polscy rycerze" to społeczność idealna, niczym „rycerze Okrągłego Stołu" – obrońcy ojczyzny, sól ziemi, strażnicy swobód i wolności, elita narodu. Nic dziwnego, że każdy ma prawo się zirytować, rozzłościć, a nawet wściec i użyć przemocy, zwłaszcza jeżeli zostanie sprowoko- +

wany albo dotknięty na honorze. To się poniekąd przydarzyło Zborowskiemu, który miał zamiar zrobić krzywdę kasztelanowi wojnickiemu Janowi Tęczyńskiemu, a przypadkiem zrobił ją nieodwracalnie komuś innemu. W efekcie został prawomocnie skazany na wygnanie i wyroku nigdy nie anulowano. Dura lex, sed lex. Nawet skądinąd wiarołomny Francuz postąpił legalnie. Jednak ten aspekt sprawy Rymkiewicza niezbyt interesuje, pamięta za to „Artykuły henrykowskie" (zgoda, „henrycjańskie" brzmi może ładniej), znacznie ograniczające swobodę działania króla (choćby: żadnych istotnych decyzji politycznych bez zgody przebywających na dworze senatorów), sankcjonujące wolną elekcję jako jedyny mechanizm zmiany na tronie i przyznające szlachcie prawo do zbrojnego buntu w razie gdyby którykolwiek z artykułów oraz chronionych przez nie przywilejów został naruszony. Artykuł 17. – przyznane każdej jednostce prawo buntu – uważa apologeta Zborowskiego za jedno z najważniejszych zdań, jakie wypowiedziano w historii Polaków, wręcz najważniejsze w polityce polskiej, dlatego też powinien [je] znać na pamięć, powinien się go nauczyć na pamięć, już w szkole, każdy Polak. Co więcej, ma ono także i dziś znaczenie fundamentalne: To niech sobie panowie zapamiętają – panie prezydencie, panie premierze, panowie, którzy teraz rządzicie. Bunt może wybuchnąć w każdej chwili, gdy tylko naruszycie... co? Kodeks karny, konstytucję, dziesięć przykazań? A może przywilej jedlneńsko-krakowski, znany jako neminem captivabimus?

Przywilej ten, gwarantujący nietykalność osobistą bez wyroku sądu, w pewnym sensie obowiązuje do dzisiaj, rozszerzony na wszystkich obywateli, ale przecież nazywa się inaczej i funkcjonuje w innym otoczeniu prawno-politycznym. Ponadto istnieje wiele różnych mechanizmów kontroli władzy publicznej i grożenie buntem z powołaniem się na XVI-wieczny dokument brzmi przez to nieco groteskowo, komicznie, trochę jak głos Papkina. Ale Rymkiewicz dziwnie lubi przemoc – obserwuje ją wszak na co dzień w swoim ogrodzie w Milanówku, pośród wiewiórek ściganych i niekiedy mordowanych przez koty, wśród mrówek, ważek i komarów zabijanych z głośnym klaśnięciem przez broniących się przed nimi ludzi. Jak pamiętamy, Miłosza też fascynowało okrucieństwo natury, bezwzględność toczących się w niej walk na śmierć i życie, niemniej brak było w tej fascynacji momentu prywatnego przyzwolenia. Autor „Wieszania" godzi się z przemocą w naturze i w kulturze dość łatwo – czasem brak mu jej nawet, toteż wyobraża sobie, że Henryk Walezy mógł życzyć sobie powtórzenia w Krakowie Nocy Świętego Bartłomieja choć w miniaturze, choć na małą skalę, albo cieszy się osobliwie, przytaczając fakt spalenia na stosie za odstępstwo od wiary prawdziwej krakowskiej mieszczki Malcherowej lub Melchiorowej, którą jednocześnie podziwia za niezłomność ducha. Wszystko to po to, żeby móc raz wybuchnąć:

Polacy są tolerancyjni i nie robi im różnicy, w ogóle ich to nie obchodzi, jeśli ktoś, tuż obok nich, wierzy w coś innego niż oni, inaczej niż oni? No może tak jest. Ale zastanówcie się, ogolone łby, nad współczesną wersją tego pytania – czy będziecie tolerancyjni, będziecie wyrozumiali i będziecie się łagodnie uśmiechali, kiedy w waszym najbliższym sąsiedztwie, w waszych blokowiskach, między waszymi blokami, obok waszych kościołów albo raczej na miejscu waszych kościołów ktoś inny, wierzący inaczej niż wy (jacyś innowiercy) zacznie stawiać swoje meczety? To wtedy co zrobicie? Macie to przemyślane, jesteście na to przygotowani, ogolone łby? Jesteście gotowi stanąć przed meczetami i zdjąć buty? Dacie sobie z tym radę, poradzicie sobie z waszą tolerancją, z waszą wyrozumiałością, z waszą łagodnością, którą ktoś wam wmówił (jacyś źli ludzie, którzy was nie lubią – i nie lubią waszych oby-

czajów, waszej przeszłości, waszych dziejów)? Można oczywiście tę eksplozję interpretować na różne sposoby. Na przykład tak: oto powiało duchem Karola Młota wprost spod Poitiers i tylko patrzeć, jak nadejdą Saraceni, których trzeba będzie pokonać w orężnym boju. Można też wszakże bardziej umiarkowanie: czy Polacy (choć raczej nie współczesne „ogolone łby", bo tych świat nie interesuje na poziomie dyskursu) gotowi są na przemiany etniczne we własnym kraju pod wpływem globalnych przemieszczeń imigracyjnych? Czas, aby zaczęli na ten temat intensywnie myśleć, bo dzisiejsze środki komunikacji znacznie skróciły dystans między Paryżem a Warszawą i trzeba się jakoś przygotować. Skoro podniesie nam się poziom życia, a przecież tego chcemy, to wzrośnie również liczba chętnych, abyśmy się nim podzielili. I rzeczywiście: co wtedy? Rymkiewicz zadaje naprawdę ważne pytanie. Ale skąd nagle nawias, a w nim źli ludzie, którzy was – czyli nas? – nie lubią i wmawiają nam fikcję zamiast prawdy o naszych dziejach, nam – potomkom polskich rycerzy z obnażonymi kłami, których tylko Batory zdołał poskromić na okres swego panowania. Inni już nie: Jan Kazimierz musiał uciekać aż do Lwowa, gdyż niektórzy jego wpływowi poddani doszli do wniosku, że może lepiej im będzie ze Szwedem, o Janie Korybucie Wiśniowieckim szkoda wspominać, a Jan III Sobieski też nie miał lekko, usiłując bronić ogromnego terytorium Rzeczypospolitej wbrew pomysłom między innymi „rycerzy" z Małopolski, którzy chcieli go zdetronizować i zastąpić księciem Karolem Lotaryńskim. Obrońca czci Zborowskiego woli jednak o tym wszystkim nie pamiętać i jednoznacznie się opowiada za „demokracją szlachecką" przeciw próbom jej ograniczenia czy choćby kontroli przez Batorego (i Zamoyskiego). Tym samym zajmuje, oczywiście, stanowisko w zasadniczym, długotrwałym sporze o rolę szlachty w historii Polski: z jednej strony, znaczny zakres swobód indywidualnych i ograniczenie władzy monarszej zapobiegły potencjalnie złym skutkom samowoli królów, z drugiej natomiast, ci sami królowie z trudem uprawiali politykę z punktu widzenia całości państwa, ponieważ każdy magnat mógł w praktyce zawsze kontestować ich zamiary. W rezultacie wielkie imperium pełne swobód zostało w XVIII wieku stopniowo wymazane z mapy Europy, a rezydencje możnowładców, jak chociażby wspaniałe palazzo in fortezza Koniecpolskich i Rzewuskich w Podhorcach, na północ od Lwowa, przekształciły się w efektowną scenografię nienapisanych gotyckich powieści. A może, zamiast cieszyć się z przysięgi złożonej w Notre Dame, należałoby współczuć Henrykowi Walezjuszowi, że musiał zaakceptować krępujące go artykuły? W końcu Francja nie wyszła na centralizacji władzy najgorzej – nawet rewolucja nie zdołała podważyć dominującej roli Paryża jako centrum układu nerwowego państwa, nie mówiąc o rozbiorach...

Myśl Rymkiewicza nie wyczerpuje się jednak na poziomie odwiecznej polskiej debaty historiograficznej, lecz sięga głębiej. Wśród rozdziałów opisowych, smakujących treść staropolskich kronik i pamiętników, pojawiają się niekiedy wyodrębnione wywody poświęcone... Nietzschemu. Pewnie nic w tym dziwnego – niemiecki filozof dorabiał sobie przecież fikcyjną polską genealogię, ale nie o to w tym przypadku chodzi. Autor „Samuela Zborowskiego" jest bezsprzecznie urzeczony Nadczłowiekiem i jego duchową potęgą, którą patrząc wstecz, przypisuje anachronicznie „polskim rycerzom". (Czyta też w nietzscheańskim duchu „Samuela Zborowskiego" Słowackiego – bohater jako „człowiek globowy" – co i dobrze, bo – wbrew pozorom – Słowacki na nadmiar interpretacji uskarżać się nie może). Zapomina wszak przy tym, że Herrschaft Nietzschego to nie tyle władza nad innymi, ile panowanie nad sobą. Innymi słowy, Zborowski winien był powstrzymać swój zwierzęcy gniew i nie rzucać czekanem w Tęczyńskiego, +

by przez przypadek trafić Wapowskiego i dostać wyrok wykonany po 10 latach. Jeśli przystajemy na gniew jako odruch domagający się spełnienia, odsuwamy się od Zaratustry w stronę ślepej woli Schopenhauera. To ona kieruje w Milanówku wiewiórką i osaczającymi ją kotami oraz zaczyna kierować polskim rycerzem, z chwilą gdy ten obnaża kły. Jeżeli wybraliśmy Nietzschego, to wypadałoby dziś te kły schować i nie pokazywać ich zbyt ostentacyjnie zmierzającym ku naszym granicom imigrantom. Zwłaszcza że swego czasu schowali je również na nasz widok spadkobiercy profesora z Bazylei.

Mógłby ktoś niebacznie pomyśleć, że Jarosław Marek Rymkiewicz to zwyczajny endek, entuzjasta jakiejś Ligi Polskich Rodzin, księdza Rydzyka i arcybiskupa Głodzia. Tymczasem nic z tych rzeczy. Tak naprawdę po śmierci nie ma właśnie nic, żadnego świętych obcowania ani niebieskiej pociechy, tylko zwłoki, odcięta głowa, grób i robactwo. Żadnej transcendencji – nie widać jej przynajmniej wcale w „Samuelu Zborowskim". Brak zatem podstawowego składnika prawowiernej polskości – fundamentalistycznego katolicyzmu z jego niechęcią do innowierców. Przeciwnie, Zborowski to kalwin, a ksiądz Skarga, Piotr Powęski herbu Pawęża, to naprawdę plebejusz o wątpliwym szlacheckim pochodzeniu, zapewne także dlatego, że domagał się ograniczenia praw szlachty na rzecz prerogatyw króla. Dlaczego więc Rymkiewicz obsadza się w roli mściciela, moczy we krwi Samuela chustkę i macha nią nam przed nosem z uporem godnym być może lepszej sprawy? Czy po to, aby ocalić historię, delię i dawne znaczenia? Czy do tego rzeczywiście potrzeba tak drastycznych środków? Ukazały się właśnie drukiem po raz pierwszy od bardzo dawna „Mieszaniny obyczajowe" i „Wędrówki umysłowe" Henryka Rzewuskiego. Jak daleko do nich Rymkiewiczowi? Słowo daję, nie wiem.

Marek Wilczyński

Weekend z terrorystą

Bernhard Schlink
Koniec tygodnia
przełożyła Marta Szafrańska-Brandt
Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA
Warszawa 2010

RAF – Frakcja Czerwonej Armii, terrorystyczny ruch, który powstał w Zachodnich Niemczech pod koniec lat 60. ubiegłego wieku, ideologicznie związany z maoizmem. Walka z kapitalizmem i amerykańskim imperializmem, ale przede wszystkim rozliczenie faszystowskiej przeszłości Niemiec to główne hasła, które propagowali członkowie tej organizacji. Propagowali i wcielali w życie przemocą i aktami terrorystycznymi. Wielu członków RAF-u zostało aresztowanych i straconych, ale po 1977 roku pojawiła się grupa, która jeszcze przez kilka lat kontynuowała działalność swych poprzedników. To są historyczne fakty.

Jörg, czołowy działacz RAF-u, w latach 70. zabił cztery niewinne osoby: przypadkowo napotkaną kobietę, policjanta, dyrektora banku i przewodniczącego związku. Trafił do więzienia na ponad 20 lat. Złożył prośbę o ułaskawienie. Została przyjęta. Wyszedł przed końcem wyroku. To fikcja literacka.

Bernhard Schlink, niemiecki powieściopisarz, wykładowca na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. W Polsce znany z takich powieści, jak „Powrót do domu", „Miłosne ucieczki" i „Lektor". Ta ostatnia doczekała się świetnej adaptacji filmowej, która przyczyniła się zapewne do wzrostu jego popularności i do zainteresowania książkami niemieckiego prozaika. Niedawno została przełożona na język polski kolejna jego powieść, „Koniec tygodnia", w której Schlink na przykładzie Jörga podejmuje próbę rozliczenia się z terrorystyczną przeszłością Niemiec.